

Betna St. O palących  
sprawach.



Egz. archiwalny 101

STANISŁAW BEŁZA.



# W PALĄCYCH SPRAWACH

„Niech żywi nie tracą nadziei  
I przed narodem niosą oświaty kaganiec”.

*Juljusz Słowacki.*



INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 77  
Tel. 26-66-83

WARSZAWA \_\_\_\_\_ 1913  
NAKŁADEM REDAKCYI „POLAKA - KATOLIKA”  
KRAKOWSKIE - PRZEDMIEŚIE 71. TELEF. 240-15.

<http://rcin.org.pl>

*Handwritten signature or mark*



STANISŁAW BEŁZA.



# W PALĄCYCH SPRAWACH

I

ŚWIATŁA!...

II

DOKĄD ZAJDZIEMY?

III

Z POWODU KSIĄŻKI.



WARSZAWA \_\_\_\_\_ 1913  
NAKŁADEM REDAKCYI „POLAKA - KATOLIKA”  
KRAKOWSKIE - PRZEDMIEŚIE 71. TELEF. 240-15.  
<http://rcin.org.pl>



21.800

TŁOCZNIA „POLAKA-KATOLIKA”  
WARSZAWA, TRĘBACKA 11. TEL. 240-15.

<http://rcin.org.pl>

I

# ŚWIATŁA!...

„Niech żywi nie tracą nadziei  
I przed narodem niosą oświaty kaganiec“.

*Juljusz Słowacki.*





## I.

Podobno Gete, znajdując się na łożu śmierci w Wejmarze, zwrócił się w ostatniej chwili do swojego otoczenia i zawołał gasnącym głosem: „*Wiecej światła*“, „*mehr Licht*“.

Podobno.

Wierzę temu, bo współcześni twórcy „*Fausta*“ zapisali to w pamiętnikach swoich, nie wierzę tylko w prawdziwość legendy, jaką z tego powodu stworzyli Niemcy, i jaką obnieśli po całym świecie na świadectwo, że czczony przez nich wieszcz, rzekomo nawet wtedy, gdy zamierający i niemal jak on bezprzytomny człowiek, może myśleć o wszystkim tylko nie o tem, co jest związane z zagadnieniami publicznymi, zastanawiał się nad nimi przecież, jak gdyby proroczym głosem wróżąc swemu narodowi, iż światło jedynie poprowadzi go rozbitego za jego życia na cząstki i osłabionego, do wielkości i jedności.

Uważałem więc tę legendę po prostu jedynie za żądę, uczynienia z męża, którego im nie stało, czegoś w rodzaju nadczłowieka, by przez wywyższenie

go po nad największych ludzi, i siebie tym sposobem po nad inne narody wywyższyć.

Tak uważałem, zanim zobaczyłem Wejmar i pokój, w którym Gete przeniósł się do lepszego świata, nabrałem przecież pewności, że tak jest, gdym włączając się od długiego lat szeregu po trzech częściach naszego globu, kilka lat temu zawitał po raz pierwszy do tego historycznego miejsca.

Bo cóż, gdym się znalazł w mieście zamieszkania i zgonu niemieckiego poety uderzyło moje oczy, cóż gdym nie bez wzruszenia stanął przed łóżkiem, na którym wydał on ostatnie tchnienie?

Oto przedewszystkiem, że cały jego dom składał się z niewielkich komnat, a ta, która mu służyła za sypialnię, była z nich wszystkich najmniejszą.

Mało najmniejszą.

Najciemniejszą ze wszystkich. Bo oświecało ją maleńkie jak ćwierć naszych okien, okienko, umieszczone w dodatku u szczytu niemal ściany, bo przez drzwi wchodowe z przyległego saloniku mdłe tylko światło przedostawało się do jej wnętrza.

Więc sypialnia jego była nieledwie ciemną, półmrok panował w niej stale, gdy więc śmierć cienie nocy roztaczać zaczęła nad wzrokiem konającego w niej wtedy w ciężkiej chorobie wielkiego człowieka, nie dziwnego, że ten półmrok stawał mu się podwójnie nieznośnym, że zapragnął on dla ulgi fizycznej więcej nieco promieni jasnych, by niemi słabnącą siłą duchową swoją choć na chwilę wzmódz.

I zawołał: „*Mehr Licht*“, „więcej światła“.

Skorom więc opuszczał dom historyczny, powiedziałem sam do siebie tak: kiedy równy Getemu geniuszem, *a stokroć wyższy od niego potęgą ożywiającą jego serce miłości do kraju, nasz nieśmiertelny Mickiewicz*, umierając w Konstantynopolu pożegnał się z otaczającymi go przyjaciółmi słowami: „*powiedźcie moim dzieciom, aby się kochały między sobą*“, można wierzyć, że myślał o przyszłości tych, które opuścił, dla spełnienia w Turcyi w czasie wojny krymskiej z Rosyą, swojego obowiązku, nie można przecież wierzyć legendzie niemieckiej, że Gete umierając myślał o tem, co współczesne mu Niemcy odrodzi i wzmocni, ale że do otaczających go, wołając: „*światła*“, dał jedynie wyraz potrzebie fizycznej, przenikającej go w ciężkiej chwili, gdy gasnące jego oczy światła tego nie miały już do zbytku.

Tak sobie powiedziałem, gdym wychodził z pokoju, w którym Gete umarł, powiedziawszy tak sobie przecież, zacząłem zastanawiać się już nie nad źródłem powstania tej legendy, gdyż to wyjaśniły mi pietyzm współczesnych dla poety, i chęć, jak już zaznaczyłem, przez wywyższenie go wywyższenia swojego narodu, ale nad żywotnością jej długotrwałą i uporem, z jakim wiarę w nią podtrzymywali długie dziesiątki lat zkadinań wyżsi ludzie, którzy jeśli tylko widzieli pokój, w którym Gete życie zakończył, (a któryż oświecony Niemiec go nie widział) o śmiesznej doprawdy jej kruchości wątpić chyba nie mogli.

I doszedłem do tego przekonania, że w tę legendę wlewał przez tak długi czas żywotne soki, prawdziwie patryotyczny cel.

Polegający na czym?

Oto na tem, by przez ciągle powtarzanie narodowi swojemu, że o jego oświacie, tak czczony przez wszystkich Niemców jak Gete mąż, myślał nawet w chwili zgonu, zachęcać ich do dążenia ku niej z niestabną energią, gdyż przez nią jedynie wznieść się potrafią na te wyżyny, na które prowadził ich on utworami swoimi.

I cel ten przez Niemców osiągnięty został, zniknął wśród nich prawie już doszczętnie analfabetyzm, i jeżeli po pokonaniu Austrii pod Sadową, i po zrobieniu pierwszego kroku na drodze ku jedności, wyrazili się oni, że do zwycięstwa nad nieprzyjacielem przyczyniły się nie ich wojska, ale *ich bakałarze*, to tem powiedzeniem dali wyraźnie poznać, iż ich wielkość stworzyło nie co innego, tylko to, czego dla nich konający Gete, miał jakoby, gdy się rozstawał z życiem, najgoręcej pragnąć:

Światło.

Czy oświecenie mas, rzeczywiście na polu krwawych zapasów z przeciwnikiem, odegrało tę rolę jaką mu przypisują Niemcy, czy o ich wygranej nie decydowały i czynniki inne, jak decydowały o niej nieraz w dziejach, gdy z cywilizowanymi ludami potykali się, pokonywując je, ciemne jak grudniowa noc nawet, szeregi barbarzyńców, rozstrzygać tego w tej chwili nie mam zamiaru, powiem tylko, zanim w dalszej części tego artykułu zajmę się naszymi domowymi sprawami, że bez jego błogosławionych promieni, współczesne Niemcy nie byłyby tem niezawodnie czem są dziś.

W szeregu kulturalnych narodów, nie zajmowały by tego co obecnie zajmują miejsca.

Bo jeżeli tkwi prawda w zdaniu pisarza francuskiego, „*że naród, który ma najlepsze szkoły, jest pierwszym na świecie narodem, i jeśli nie jest nim dziś, będzie nim jutro*“, to nie mniejszą zawiera i ta, iż w mrokach rozpościerających się na widnokręgu, żaden błogosławiony pług nie potrafi orać ziemi, żaden siewca dobroczynny siać pożywiającego ducha i ciało, ziarna.

Zapamiętajmy to sobie, zanim w chwili gdy o przebicciu tych mroków w naszym kraju mówią i myślą wszyscy, zastanowimy się nad tem, jaką drogą iść potrzebujemy, aby mroki te rozwiać, i rozwiawszy je, w spragnione światła dusze, wlać nie to, co odwiedzie je od źródła wszechświata: *Boga, i sprzeniewierzonych ojczyźnie i obowiązkom obywatelskim poprowadzi na rozdroża kosmopolityzmu i narodowego zubożenia*, ale to, co je narodowo uświadomi, uszlachetni i oczyści, stając się czynnikiem odrodzenia, ciężko smaganego przez los, tak zasłużonego dla świata, a tak poniżonego dziś przecież *naszego Narodu*.



## II.

Sprawa zatem oświecenia jak najszerzych mas, była w chwili zgonu Getego i całe dziesiątki lat po jego zgonie, palącą dla rozbitych wtedy i osłabionych Niemców, i dla tego, jak miemam, podtrzymywali oni w narodzie legendę, że on sam gdy bezprzytomny prawie przenosił się do lepszego świata, ten swój gorszy przez światło pragnął podnieść i ulepszyć; jest w obecnej chwili palącą dla nas Polaków, gdy widzimy, czem dziś nieszczęśni w rzeczy cywilizowanych narodów jesteśmy, a czem z racji naszej wielkiej bohaterkiej przeszłości, bogactwa naszej literatury i naszego posłannictwa, łączenia kulturalnego Wschodu Europy z Zachodem, być bezsprzecznie powinniśmy.

Że jest ona palącą dla nas, jeśli nie nasz ogół, to wyższe wśród niego umysły czuły to doskonale nie od dziś, o mrokach panujących pod strzechami wiejskimi pisano niejednokrotnie, a straszny obraz skutków analfabetyzmu stolicy naszego kraju Warszawy, widniał ciągle przed oczami naszymi w takiej

grozie, że każdy kto się w niego wpatrzył, wstrząśnięty musiał być nim do głębi\*).

Ale myśleć, mówić i pisać o ciemnocie naszych szerokich mas, półgębkiem naturalnie mogliśmy, aby je oświecić i podnieść przecież, „uderzyć“—jak poeta powiada—*„w czynów stal“* nie byliśmy niestety w stanie.

Gdyż mieliśmy skrępowane ręce.

Gdyż inicjatywa nasza w sprawie odrodzenia kraju, miała dla nas to znaczenie, co wedle cynicznego wyrażenia się Bismarka w parlamencie niemieckim, przyrzeczenia królów pruskich, szanowania naszych narodowych praw.

*Nie ważyła tyle nawet co fenig.*

Inni o nas myśleli, a ci inni w oświacie ludu polskiego widzieli coś tak niebezpiecznego, że powstrzymywali każdy śmielszy, na drodze ku zdobyciu jej, krok.

Jak na tem wyręczaniu nas w myśleniu o sobie wyszliśmy, dla różnych względów szeroko rozpisywać się nie chcę, przypomnę więc tylko, że dziś na stu Polaków w Królestwie, siedmdziesięciu pięciu nie umie pomodlić się nawet na książce w kościele, a ostatnie lata, nazwane (na urągowisko prawdziwej wolności, której bez porządku pojąć nie mogę) *wolnościowemi*, ukazały nam wśród warstw niższych po miastach zwłaszcza, takie zdziczenie obyczajów, *owoc zachwaszczenia dusz*, — że targając najsilniejszymi nerwami, zniewalały każdego, kto myślał nie tylko

---

\*) Czytaj: Adolf Suligowski. Miasto Analfabetów. Warszawa. Wydanie 2.

o tem co mu żona przygotuje jutro na obiad, do głębokiej zadumy o przyszłości, staczającego się w przepaść, niby biegnąca po równi pochyłej kula—kraju.

Ale nadszedł ostatni kwartał pamiętnego roku 1905.

Rosyi, a z nią Królestwu Polskiemu rozwiązano do pewnego stopnia języki, powołano przedstawicielstwo ludowe do stanowienia obowiązujących dla wszystkich praw.

Z piersi więc wszystkich spadł tłoczący je kamień, dano narodom, zaludniającym wielkie Imperyum, o wiele większą niż dawniej możność myślenia o sobie, i co ważniejsze, pracowania dla siebie.

Czy z tej większej niż dawniej możliwości wynikły te skutki, jakich się w dniach różowych marzeń i złotych nadziei spodziewano, rozpatrywać tego w tej chwili nie będę, zaznaczę tylko z naciskiem, wbrew zakamieniałym pesymistom, którzy na co spojrzą, widzą to w czarnej jak noc barwie, że pewne pola pracy społecznej, dzięki zmienionym warunkom publicznym, pług nasz narodowy może dziś orać sprawniej i raźniej, niż to miało miejsce ośm jeszcze lat temu.

Takiem właśnie polem jest sprawa oświaty ludowej. Bo co możemy na tem tak zachwaszczonem polu dziś robić?

Odpowiedź krótka.

Jeśli nie to, coby zrobić należało lub coby się zrobić chciało, to przynajmniej to, co w stosunku



do tego, co się mogło robić dawniej, jest jak dajmy na to jedność do dwudziestu.

Możemy dać ludowi polskiemu władzę czytania i pisaną po polsku.

Rozwiąć hańbiącą nas mgłę analfabetyzmu w całym kraju.

A co za tem idzie, uwić mu gniazdo przyszłości lepszej.

Do osiągnięcia tego celu prowadzą dwie drogi:  
Przez zakładanie szkół ludowych polskich.

Przez wpływanie na gminy, by korzystały na zakładanie szkół gminnych, z rządowych zasiłków.

Jedną i drugą kroczyć dawniej nie mogliśmy.  
Bo nam warunki polityczne nie pozwalały.

Bo, jak powiedziałem, inicjatywa prywatna, która ma dziś grunt pod nogami, wczoraj jeszcze była czemś, jak gdyby w mgle.

Gdy więc te warunki dziś się zmieniły, gdy dobra wola każdego nie napotyka w tej chwili tych przeszkód, co wczoraj, pomyślmy nad tem, jak postępować, aby z tej wolności zrobić taki użytek, jakiego dobro naszego Narodu, nie tylko materyalne, ale i duchowe, wymaga.

Rozważanie tej sprawy uważam za niezmiernie ważne, widzę bowiem przy zapale pewnych grup i jednostek, wątpliwości innych, słyszę pomruk opinii sprzecznych, wzajemnie się w tej sprawie wyłączających.

Niechże więc w tym zgielku przeróżnych głosów, znajdzie się i mój, bynajmniej nie pretendujący

do tego, by był głosem najpoważniejszym, ale mający przecież prawo domagania się waszego czytelnicy posłuchu, gdyż do wypowiedzenia go, jedyną pobudką jest to, co dla każdego Polaka powinno być drogowskazem na gościncu pochodu naprzód:  
*pożytek Ojczyzny.*

---

### III.

Możemy więc już dziś, jak to zaznaczyłem wyżej, wpływać na wzrost oświaty ludowej w kraju.

Czy korzystać więc z tej możliwości w jak najszerszym, *rozpędowym*, że się tak wyrażę zakresie, czy też kwestyonując bądź pożytek *takiej oświaty*, jaką dać możemy w tej chwili naszemu ludowi, bądź też w ogóle *samej oświaty*, dla innego niż dzisiejsze *jutra*, nie robić zgoła nic.

Ze słowami na ustach: „*jakoś to będzie*“.

Z rezygnacją ludzi Wschodu, że co ma się stać, i tak się stanie.

Szkoła ludowa, jaką stawiać w tej chwili w kraju możemy, niezawodnie nie jest taką szkołą, jakiej by kraj pragnął.

Pod tym względem, ma ona dużo wspólnego z oczekującym nas samorządem miejskim.

Jak samorządowi bowiem, tak i jej zrobić można ten kardynałny zarzut, że przeznaczona dla kraju polskiego, za mało jest polską.

Za szerokie w swoim planie udziela miejsce językowi rosyjskiemu, potrzebnemu niezawodnie

bardzo każdemu oświeconemu Polakowi, ale dla ludu nie przekraczającego nieraz po za granice rodzinnej wioski, nie mogącemu mieć wielkiego znaczenia, i z natury rzeczy skazanemu na zatarcie się w jego pamięci.

Jak dajmy na to w Wielkopolsce, i wogóle pod zaborem pruskim język niemiecki, gdzie chłop nasz w szkole uczy się go, zapominając zupełnie o nim, gdy na roli dłużej po odbyciu powinności wojskowej osiedzie.

Ale jak samorząd, bądź co bądź ma tę wielką zaletę, że daje nam możność prowadzenia gospodarki miejskiej, *wedle naszej woli*, tak ona ucząc naszego chłopca za dużo niezawodnie po rosyjsku, uczy go przecież *czytać i pisać po polsku*.

Wyprowadza z przeklętego koła analfabetyzmu.

Jest to mało, zapewne, bo na czytaniu i pisaniu po polsku wszystko się nie zasadza, ale gdy człowieka formuje nie szkoła, tylko rodzina i atmosfera, którą oddycha, jestto zarazem i bardzo wiele.

Gorszej szkoły jak ludowa pruska, wyobrazić sobie nie można, i jakkolwiek nasza przyszła będzie, nie będzie tak złą jak ona.

Nie będzie w niej panował, jak w pruskiej, za słowo polskie, kij, nie będą w niej posługiwali się temi barbarzyńskimi środkami wynaradawiania dzieci naszych, jakimi posługują się Prusacy.

Nie będzie w niej patyka, „*Polakiem*“ przez nauczycieli pruskich na Mazurach pogardliwie zwanego, i przechodzącego z rąk jednego do drugiego, za karę iż się ważyło po polsku odezwać.

Nie będzie i czegoś więcej.

Zachęty dzieci do szpiegowania innych, i donoszenia nauczycielowi, gdy w zapomnieniu, w tym naszym biednym tam języku, wypowie jedno z nich do drugiego potrzebę swojego serca.

A to wszystko w szkole pruskiej, od czasu Bismarka, jest.

Dowodem katowanie uczniów we Wrześni, znęcanie się barbarzyńców pedagogów nad nie robiącymi w niemieckim języku należytych postępów, wynagradzanie tych profesorów, którzy, aby niemczyzną szerzyć, postrach katów wnoszą z osobami swojemi do szkół polskich, gdy przekraczają ich wrota.

I cóż?

Czy taka szkoła, w której słowo polskie jest zakazane, gdzie w dodatku pacierz nawet dzieci po niemiecku odmawiać muszą, czy taka szkoła, zgermanizowała nasze kresy zachodnie, czy polskość, jak tego gorąco *cywilizowani ci barbarzyńcy* pragną, zatarła tam w naszym ludzie?

Chyba tego nikt nie powie, kto wie o tem co się o miedzę od nas dzieje, i daj wielki Boże, ażebyśmy go w Królestwie mieli tak oświeconym i tak uświadomionym narodowo, jakim na zachodnich naszych kresach jest.

Zatem najgorsza, jaką sobie wyobrazić można, pod słońcem szkoła, polskości w ludzie naszym nie zabiła, choć nie uczyła go abecadła polskiego, zbudziła w nim potrzebę uczenia się sekretnie w narodowym języku, a jeżeli dziś wychodzą w dzielnicach



polskich Prus, w setkach tysięcy egzemplarzy gazety nasze (jedna „Gazeta Grudziądzka“ liczy przedpłacicieli chłopów sto tysięcy), dowód to oczywisty, że Prusak przez nią, pomimo całej perfidy, nie osiągnął tego szatańskiego celu, jaki osiągnąć pragnął.

Przeciwnie, wytworzył to, czego bynajmniej nie pożądał: legjony całe czytających pisma i książki, tylko na pociechę swoją... nie po niemiecku.

Więc wiedząc o tem i patrząc na to co się dzieje w najniemorálniejszem pod słońcem szkolnictwie, nie krzyczmy rwąc na siebie szaty, że przyszła szkoła gminna w Królestwie, odpolszczy polskiego chłopca, i że zatem zakładać jej nie potrzeba, gdyż ona bądź co bądź dawać mu będzie to, czego pruska nie daje: *nasze ojczyście słowo*, a w każdym razie wolną będzie od tego, co pruską na wiek wieków piętnować nie przestanie palącą pieczęcią hańby.

Zatem gdy w kraju naszym, przy dobrej ogółu woli, dzięki rozwiązany rękóm, powstaną dziesiątki tysięcy szkół gminnych, chłop polski dziś ciemny i niepiśmienny przeważnie, posiadzie to, czego dotąd był pozbawiony: możność czytania i pisania w swym ojczyście jęzuku.

Czy go to podniesie i umoralni?

Pytanie to stawiam nie dla siebie, gdyż pod tym względem wątpliwości nie mam, ale w celu odpowiedzenia tym, którzy lękając się wszystkiego czego dotąd nie było, stawiają je sobie w strwożonych duszach.

I odpowiadam porównaniem Królestwa z zaborem pruskim.

Jak wiadomo, dotąd u nas *w stosunku do krajowych potrzeb*, szkół ludowych nieledwie nie było, jak wiadomo, gdy analfabetów pod zaborem pruskim prawie że niema, u nas do nich zalicza się trzy czwarte mieszkańców.

I jakież tego następstwa?

Tam przewrotowcy, nie uznający ni Boga, ni porządków społecznych, są niemal zupełnie nieznani, tu był czas (na szczęście zaliczający się już do przeszłości), że zdawało się, iż pod ich naporem runąć musi w kraju wszystko.

Tam chłop wyzwolony z lichwy żydowskiej, stoi jak opoka na polskiej roli, tu dziś dopiero rozpoczyna się nikła praca, by go wyzwolić z niewoli ekonomicznej obcych pijawek i pasożytów.

Tam po miastach drobny mieszczanin wyparł żyda, kumającego się z Niemcem na zgubę kraju, tu na obcym morzu jest on niby wysepką drobną, której tu i owdzie fale grożą potopem.

A bandytyzm, owoc ciemnoty, czy znany jest światłej Wielkopolsce, a pojawiające się od czasu do czasu głosy wiejskie, urągające i wierze naszej, i tym, którzy czystości wiary strzegą, w tej wartości organie ludowym co „Zaranie“, czy dają się tam słyszeć?

Nie, po stokroć czytelnicy, nie, — nie mówmy, tego, że oświata lud nasz odprowadzi od Boga, że wzmocniwszy, nie podniesie go i nie uszlachetni, tylko gdy ludowi otworzymy furtkę dopuszczającą

do jego głów i serc promienie, starajmy się o to, by promienie te były czyste.

Tak jest, starajmy się o to, a on sam, widząc, że nie jest odosobniony, że wyciągamy ku niemu pomocne ręce, instyktom nieomylnym ziarno od plew odróżnić potrafi.

I gdy w Wielkopolsce, Prusach Zachodnich i na Śląsku Polskim, instyktom tym wiedziony na bezdroża nie zboczył, nie zboczy na nie i tu, jeżeli tylko tu jak tam, nie odmówimy mu naszej pomocy.

Naturalnie, że ze wzrostem liczby czytających po polsku w kraju, wzrosnąć muszą obowiązki obywatelskie tych, którzy z książką i gazetą do ludu się udadzą, naturalnie, że przed prasą katolicką i szczerze polską otworzą się szersze widnokreśli, ale myśl sama, czego pod tymi widnokreślami można będzie dokonać, powinna rozpierać nasze serca.

*Zatem nie od oświaty, tylko do oświaty, nie od szkoły, tylko do szkoły, wolni od zwątpień i obaw, z wiarą w błogosławioną moc światła, ruszajmy odważnie naprzód, a gdy po spełnieniu naszego obowiązku, do mogił złożymy nasze głowy, zaśniemy „snem“ — jak powiada poeta — „nieprzespanym“ z tą pociechą, żeśmy wierze naszej i ojczyźnie, tym dwóm najdroższym naszym skarbom, oddali rzeczywiste usługi.*

W jednym z bardzo pięknych wierszy, Wiktor Hugo zwraca się do jednego anarchisty, który w przystępie niszczycielskiego szaleństwa, podłożył



ogień pod bibliotekę publiczną i setki tysięcy książek spalił.

I powiada mu, co uczynił.

Że te książki, które puścił z dymem, zamykały w sobie moc światła, że w wielu z pomiędzy nich znajdowała się dla niego pociecha, że nie jedna doprowadziłaby go do spokoju duchowego i szczęścia na ziemi.

Mówi do niego długo, przekonywająco i wymownie, a kiedy skończył, i sądząc, że sumienie w nim poruszył, zagłębił w jego oczach wzrok pytający, usłyszał w odpowiedzi te straszne słowa:

*„Ja nie umiem czytać“.*

Nie umiem...

Więc nie mam pojęcia o tem, że w książkach mogą być rzeczy pożyteczne i dobre, więc paląc je, zdawało mi się, że zniszczę coś takiego, co wartości wszelkiej dla mnie jest pozbawione, co szkodę mi nawet wyrządzić może...

Wiersz ten staje mi na pamięci, gdy w tej chwili odkładam na stronę moje pióro.

I myślę nad smutnym jego bohaterem.

Kim on był?

Był nieszczęsny analfabeta, w jego, być może nawet nie złą duszę, nikt nie siał drogą pisanego słowa dobrych myśli.

Przyszli do niego nędznicy, którzy na takich właśnie jak on zapuszczali występne swoje sieci, dali mu pochodnię w rękę i powiedzieli: pal.

Pal wszystko, co ci na drodze stoi, bo religja przesąd, porządek społeczny powijak dla niewolników,

dorobek kulturalny narodu, jedno ogniwo w łańcuchu, który cię ściska.

I rozbudziwszy w nim zwierza, popchnęli do czynu zwierzęcego.

Kiedy więc dziś myślimy wszyscy nad tem, co należy czynić, gdy na polu oświaty ludowej otworzyły się przed nami szersze nieco widnokreśli, zapamiętajmy sobie i ten wiersz.

I przykładając rękę do pokrywania siecią szkół kraju, gdy owoce ich zaczną w narodzie kielkować i ciemności ustępować pod wpływem światła, idźmy do ludu z dobrą umoralniającą go prasą i książką, unośmy jego duszę z kału niewiary i materyalizmu, nawołujmy go do religijnego życia, trzeźwości i spełniania obowiązków, pewni tego, że nędznicy i niszczyciele, których tam jest królestwo, gdzie panuje wieczna noc, okażą się wobec niego bezsilni.

A Bóg, patrzący na wszystko z góry, pobłogosławi naszym zamiarom.

## II

# DOKĄD ZAJDZIEMY?

„Narody, które nie pracują i nie oszczędzają, muszą zniknąć z powierzchni ziemi“.

*Stanisław Staszic.*





## I.

Rok 1886 smutnym zaiste był rokiem dla zachodnich kresów etnograficznej Polski.

Smutnym, po szeregu smutnych.

Bo z rąk potomka rozbójniczych Krzyżaków, Prusaka, uderzał w nie grom po gromie, bo pokonawszy kilkanaście lat temu na krwawych polach Sedanu, Metz i Paryża, Francję, w pysze niepohamowany, zaprzysiął on zagładę wszystkiemu, co nie jego językiem nie jego Bogu hołd składało, bo widząc w zaludniających kresy te mieszkańcach, opór przeciwko jego zachciankom upodobnienia ich do z krwi i kości germańskich, za wszelką cenę postanowił ten opór brutalną siłą złamać, puściwszy ich z kijem żebraczym zbiedzonych i obezwładnionych, w świat.

Precz z ich wiarą, precz z ich językiem rozległo się donośnym głosem z Berlina, a ten, który przez lat kilkadziesiąt faktyczną władzę w nim sprawował, wcielenie gwałtu i niesprawiedliwości, jeden z najposepniejszych i najmarniejszych ludzi, jakich wydał świat, Bismark, z Brennunsowemi słowami:

„biada zwyciężonym“ (*vae victis*) na ustach, zwracał ku nam groźnie twarz, urągając bezlitośnie naszej niedoli.

Na podobieństwo tego nieludzkiego sędziego z Byrona, który skazawszy z uciechą w zatwardzia-  
łym sercu nieszczęsnego na śmierć, dodawał mu do kary głównej, — jak się poeta angielski wyraża — „na pocieszenie, szyderstwo“ (*joke for consolation*).

W dziejach martyrologii polskiej, to co ten okrutny, krwawy człowiek wierze naszej i narodo-  
wości zrobił, zajmie jedną z najczarniejszych w księ-  
dze bezprawia kart, działalność jego w roku 1886,  
była przecież ostatniem ogniwem łańcucha, przeznaczonego przezeń po to, by nas skutych nim jak niewolników, jak robactwo zanieczyszczające jego dom, zdusić.

Pamiętam dobrze ten rok.

Po uchwaleniu w roku 1873 niegodziwych praw Falkowskich godzących w największy nasz duchowy skarb: *religję*, podniósł on zuchwale rękę na drugi nasz skarb, *język*, wygnał go ze szkoły ludowej, oczekując w obłąkaniu powodzenia, jakie w zwyciężkach wojnach z Danją, Austrią i Francją osiągnął, tej chwili, gdy nad Wartą, Notecią i Górną Odrą, chłop nasz, którego sam Bóg innym niż on utworzył, sprzeniewierzywszy się nakazowi trwania przy tem co od Boga pochodzi, mową jego, pod starą swoją strzechą do żony swojej i do dzieci przemówi.

Ale nie mogąc się tego doczekać, przeciwnie, widząc, iż chłopą naszego barbarzyńskie jego środki



nie tylko nie przemieniły w Niemca, lecz oddaliły go od niego, przybliżając natomiast do dworu, z którym pragnął go on na wieki poróżnić, podniósł rękę na ten dwór, postanowiwszy zmieść go z powierzchni prastarych naszych ojczystych dzielnic.

I stworzył, właśnie w tym roku 1886 Komisję kolonizacyjną.

Za pieniądze wpływające do skarbu z kieszeni polskich, postanowił wykupywać od Polaków ziemię, by ją następnie, rozdrobnioną na niewielkie gospodarcze kolonje, oddać bezpowrotnie w ręce Niemców.

Zamiar piekielny, ze wstydem przyznać to muszę, w części mu się udał.

Miał pieniędzy dużo, płacił dobrze, więc za judaszowe srebrniki wielu rozpustników i nędzników, zaprzepaściło na zachodnich naszych kresach to, czego powinniśmy się trzymać, jeśli nie chcemy zawisnąć nad naszą Polską w balonach,—podstawę pod nogami.

Kiedy jestem w Wielkopolsce, a zaglądam do niej często, gdyż bądź co bądź, nauczyć się od niej wiele można, widząc rozsiane po szerokich przestrzeniach, o czerwonych dachach, jednostajne (że użyję słów Mickiewicza)

„jak kłosa w jednym uwiązane snopie,  
jako zielone na polu konopie,  
jak wiersze książki, jak skiby zagonów,  
jak petersburskich rozmowy salonów“,—

kolonje przybłądów z zachodu, powołanych po to, by zacierać piętno kolebki naszej Ojczyzny, nie

mogę bez wstępu myśleć o tych kurczycielach Polski, co wyzbywszy się z serca Boga i miłości ku temu, co po Bogu, dla każdego z nas jest najdroższe, u stóp nieubłaganego zwycięzcy złożyli krwią i potem bohaterских przodków skropioną ojcowiznę.

I stają mi wtedy w myśli słowa przekleństwa, z jakimi zwraca się ku zdrajcy interesów własnego kraju Tomasz Moor, i powtarzam je sobie w pamięci w przekładzie Odyńca, spoglądając na te wieczne ślady polskich narodowych zbrodni, gdyż w nich wielki poeta Anglii zamknął wstręt dusz czystych, postawionych oko w oko ze skalanami.

„Niechaj się w zbrodni uporem zatwardzi,  
Niech się nim dzieci i rodzice brzydzą,  
Niech go przyjaciel, nie, sam wróg niech wzgardzi,  
A z nędzy wiecznie najpodlejsi szydzą“.

Dziesiątki zatem tysięcy morgów naszej ziemi, dzięki przewrotności Prusaków, ale i nędzocie ducha tych, których niestety rodakami naszymi zwać musimy, poszło pod pruskim zaborem w paszczę niemieckiego Molocha, a choć szeregi całe rządnych i patriotycznych tam Polaków, jednocześnie wykupiły z rąk obcych wielkie przestrzenie, boleści naszej to przecież nie zmniejsza, gdyż ta ziemia, którą oddaliśmy kolonizacyi, jeśli Bóg ku nam nie zwróci miłosiernego oka i stosunki na naszych kresach się nie zmieniają, nigdy już do naszych rąk z powrotem się nie dostanie.



Rozumieją też to doskonale wszyscy myślący o przyszłości Polski pod zaborem pruskim.

Patryotyczna prasa, nie stoczone rakiem gangreny, nasze ziemiaństwo, cała zdrowo myśląca inteligencya nasza w tej dzielnicy.

Nie poprzestając więc na zachęcie do zbierania gdzie się da polskiej ziemi i wykupywania jej od Niemców, jednocześnie, gdy pierwsza zbudziła uspio-  
ną i zbyt pobłażliwą dla sprzedawczyków opinię publiczną, piętnując ich, jak na to zasługują, dwie drugie warstwy społeczne rozpoczęły energiczną działalność, by o ile się da, przed pazurami Komisji kolonizacyjnej strzedz naszego dobytku narodowego, zabezpieczając przed nią stan naszego na roli posiadania.

I praca ta nie idzie na marne.

*Czarna księga* Wielkopolska, nie pomnaża się już ku naszej hańbie, nowemi nazwiskami odstępców od sztandaru ojczystego w tym stosunku, co lat temu kilka jeszcze, to co zachowało się w rękach naszego nad Wartą ziemiaństwa, według wszelkiego prawdopodobieństwa, na szczyby wydatne narażone już nie zostanie.

*Ród sprzedawczyków jest już tam, jak się zdaje, na etacie wymierających.*

Przyklaskując więc temu z całego serca, i kierując za to wzrok wdzięczny ku Wielkopolsce, zastanówmy się teraz przez chwilę nad tem, gdzie mianowicie samozachowawcza jej działalność winna znaleźć obecnie licznych naśladowców.

## II.

Jednym z bezzaprzeczenia największych ludzi, jakich w dniach wielkiej boleści i upadku zesłała nam, dla krzepienia ducha w nieszczęściu Opatrzność, był niezapomniany twórca „*Śpiewów historycznych*“, Julian Ursyn Niemcewicz.

Żołnierz i pisarz, ale przede wszystkim w każdym calu patriota i obywatel.

Koleje jego życia, to koleje życia człowieka, dla którego nad Ojczyznę nie było większego doczesnego skarbu, to też Ojczyźnie oddał on siebie bez zastrzeżeń w ofierze.

Poświęcił jej się z krwią i kośćmi, świecąc przykładem tym naszym dzisiejszym pseudo-patryotom, co to utożsamiając kraj z partią, której służby zaprzysięgli, w rozwydrzeniu stronnictwem, ją nawet, dla ciasnych swoich dążeń i celów, złożyć w ofierze ambycyi i namiętnościom są gotowi.

Urodzony w 1758 r., za czasów upadającej już, ale niepodległej jeszcze Polski, dożył wszystkich trzech rozbiorów, brał udział w powstaniu Kościuszkowskim, a kiedy w 83 roku życia swego, kładł

do grobu zasłużoną głowę, miał za sobą, i więzienie w Petersburgu, i Amerykę, i Księstwo Warszawskie, i Kongres Wiedeński, i rewolucję listopadową, i tułaczkę na obczyźnie...

Nie każdemu więc danem było patrzeć na to na co on w długim swoim życiu spoglądał, ale nie każdy też, patrząc na to tak długo, tak jak on zasłużył się krajowi.

Pozyskawszy tytuł do jego głębokiej wdzięczności.

Otóż wielkie to nazwisko stanęło mi w myśli, kiedy wypisawszy w nagłówku tych moich artykułów słowa: „*Dokąd zajdziemy?*“, od Wielkopolski i w ogóle zaboru pruskiego, skierowuję wzrok ducha, ku stolicy i sercu naszego kraju: Warszawie.

Dlaczego?

Bo on, nie kto inny właśnie, myśląc o szczęściu i przyszłości Polski, przepowiedział temu miastu straszną przyszłość, jeśli kroczyć nie przestanie po drodze, nie ku wzmocnieniu jej fundamentów wiodącej, targając lekkomyślnie nic tradycyi, jaka ją po wsze czasy łączyć powinna z rdzeniem narodu.

A dokonał tego w humorystyczny sposób, śmiejąc się łzami, w wydanej przez siebie broszurze zatytułowanej: „*Rok 3333*“, w której „*w śnie* — jak pisze — *niestychanym*“ przedstawił obraz drogiej mu Warszawy, w czasie o dwa tysiące przeszło lat oddalonym od chwili, kiedy się zatroskał o jej los.

„Rok 3333“ znany jest każdemu oświeconemu Polakowi\*) przytaczać więc nie będę jego treści, powiem tylko, że wielki obywatel jakby w jasnowidzeniu przepowiedział w nim Warszawie to, co jej grozi.

I niech nikt nie przeczy powyższym moim słowom i nie sądzi, że mnie do odwołania ich zniewoli twierdzeniem, iż przecież dotąd stolica nasza nie jest „Moszkopolisem“ jakim ją we śnie swoim twórca „*Śpiewów Historycznych*“ widział, gdyż na to odpowiem, że rzeczywiście nie jest, ale też do roku 3333-go brakuje jeszcze 1420 lat.

Tylko...

Jeśli więc Warszawa, Bogu Najwyższemu dzięki, Moszkopolisem dotąd się nie stała, jeśli jak śnił Niemcewicz, człowiek noszący historyczne nazwisko Zamojskich, nie powozi jeszcze po jej ulicach dorożką żydowską, a Książę Wojewoda Icek Szmulowicz, w pałacu obrońcy Wiednia i Chrześcijaństwa, króla Jana III-go w Wilanowie, nie odprawia swoich kuczek, to każdy, kto ma oku widzeniu przyznać musi, że zażydza nam się ona w zastraszający zaiste sposób, i że jeżeli procesu tego zażydzania się jej, patryotycznym wysiłkiem wszystkich nie powstrzymamy, nastąpi to (*kto na tę myśl nie wstrząśnie się z przerażenia?*) co jej wróżył wielki ten obywatel.

---

\*) Skład główny w księgarni „Polaka-Katolika“ Krakowskie-Przedmieście № 71. Cena 10 groszy.

Tylko nie za lat 1420, nie w roku 3333, lecz za trzy, a najdalej za cztery pokolenia.

I przyszedł podróżnik po niej, ale już nie w śnie, jak Niemcewicz, jeno niestety na jawie, ujrzy to, co on w fantazyi patryotycznej widział, usłyszy rzeczywiście z ust rzadkiego niewątpliwie w niej Polaka straszne słowa, które on słyszał w swoim śnie niepodobnym, że *„nie orężem żydzi w Warszawie podbili Polaków, lecz sztuką, podstępami, przekupstwem, że gdy raz otrzymali prawo wchodzenia do wszystkich urzędów, nie niezmordowanej przebiegłości ich i wykrętom tamy położyć nie mogło, tak, że z wiekami zgnięli Polaków Chrześcijan, i sami opanowali wszystko“*.

Że Warszawa żydzieje w oczach naszych coraz bardziej, że z roku na rok upadabnia się coraz więcej do większości naszych prowincjonalnych miast, opanowanych już prawie doszczętnie przez żydowstwo, świadczy mi o tem, choćbym zapomniał na chwilę o powierzchniowym wyglądzie znacznej części jej ulic, statystyka ostatnich miesięcy ze stanu żydowskiego w niej posiadania.

Cóż w statystyce tej znajduje?

Coś takiego, co powinno nam wszystkim dać wiele do myślenia, zniewalając wszystkich, którym przyszłość polska stolicy naszej jest drogą, do zakrzątnięcia się, za przykładem Wielkopolski, celem przedsięwzięcia na wielką skalę akcji ratunkowej.

Otóż ta statystyka powiada mi, że w ciągu ostatnich kilku miesięcy, mniej więcej od zeszłorocznych wyborów, podczas których żydzi warszawscy



dali nam, Polakom, tak dotkliwie uczuć swoją liczbę, nieruchomości tutejsze przechodziły w dość znacznej ilości z rąk do rąk.

Kupowali je od żydów Chrześcijanie, od Chrześcijan żydzi, ale *fin final* (ostateczny koniec), jak mówią Francuzi, nie był dla nas korzystny.

Bo oto żydzi kupili od Chrześcijan więcej domów za przeszło pół miliona rubli.

Pół miliona i oto w ciągu miesięcy kilku.

Jeśli więc tak dalej iść będzie, to za jakie najdalej pół wieku wykupią nam całą Warszawę, i choć nie będzie ona wprawdzie jeszcze taką, jaką w śnie swoim widział ją Niemcewicz, choć nie będzie się nazywała „*Moszkopolisem*“, jeno po dawnemu (*na szyderstwo chyba z jej wielkiej przeszłości*) Warszawą, my w niej będziemy nie gospodarzami, jak być powinno, ale lokatorami, których kaprys rzeczywistych jej gospodarzy, będzie w stanie wyrzucić nawet po za jej granice.

To niechybnie nastąpi, czy słyszycie, *niechybnie*, a co się stanie z handlem polskim, gdy mu nowy właściciel Warszawy, być bardzo może, dach usunie nad głową, o tem mówić chyba nie potrzebuje.

Więc ratunku, na Wszechmogącego Boga, ratunku, bo Warszawie polskiej grozi niebezpieczeństwo, bo nieprzyjaciel jest u jej murów. *Hannibal ante portas.*

Maluczko, maluczko, a nas pokona, wyprosi po za nawias, zepchnie z dotychczasowego stanowiska na drugo, jeżeli nie na trzecie rzędne.

I powie nam to, co rodakom naszym powiedział w Stanisławowie w Galicyi nie tak dawno:

*„Zabierajcie wasze kościoły i wynoście się ztąd precz, gdyż więcej nie tu waszego niema“.*

Zatem akcja ratunkowa, w obec tego co się dzieje, jest konieczna.

Ze strony niezależnej prasy, obywateli dbających o dobro Warszawy, całego wreszcie kraju, kochającego swoją stolicę i dumnego z jej posiadania.

Taka, jaką zapoczątkowała Wielkopolska, dbała o swój wiekowy materyalny dorobek, czujnie stojąca na straży swoich interesów.

I jaką ocaliła resztki swojego posiadania.

Ku zdumieniu Niemców. Ku podziwowi całej Polski.

Taką powinniśmy rozpocząć i my tu.

Piętnując niegodziwych sprzedawczyków, którzy jak to w ostatnich czasach miało miejsce, dla korzyści, pozbywają się na rzecz żydów z lekkim sercem swoich chudob, dopomagając radą i pomocną ręką tym, którzy z konieczności wstępują na drogę, prowadzącą do zaprzepaszczenia na ich rzecz polskiej Warszawy.

Inaczej dożyjemy, jeśli nie my, to inni po nas, tego, w obec czego katastrofy polityczne, jakie w kolei dziesiątków lat ostatnich kraj nasz przechodził, zaliczać się będą zaiste nie do najbardziej oplakanych.

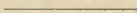
Stracimy pod nogami grunt.

W Warszawie zawiśniemy w powietrzu.

I stworzymy sobie taką dołę, jaka jest udziałem tych, którzy w powietrzu wiszą.

A na szyderstwo z naszej rozrzutności, obojętności o dobro tego, co powinno każdemu być drogie, i braku rzeczywistego patriotyzmu, usłyszemy od nowych posiadzicieli grodu Wazów i Sobieskich to, co jak urągowisko dźwięczy dotąd w uszach mieszkańców Stanisławowa w Galicyi:

*„Zabierajcie wasze kościoły i wynoście się ztąd precz, gdyż więcej nic tu waszego niema“.*





III

## Z POWODU KSIĄŻKI.

„Narodu duch otruty,  
To dopiero bólów ból“.

*Zygmunt Krasiński.*

III

WISCONSIN HISTORICAL SOCIETY

1900

## I.

Dostała mi się właśnie do rąk świeżo wyszła w Krakowie książka pod tytułem „Czarna Perła“ \*).

Znanej z jak najlepszej strony autorki pani Anny Karwatowej z Wichulca w Prusach Zachodnich.

Książka zainteresowała mnie bardzo.

Posłuchajcie więc uwag, jakie mi po przeczytaniu jej nasunęły się do głowy.

Uwagi te wypowiadam w tej chwili, mając na myśli te palące sprawy, które zakrzatają nie jeden dziś umysł, dawno mi przecież cisnęły się one pod pióro, niechajże więc z okoliczności wyjścia na widok publiczny tej książki, przenikną do serc i umysłów wszystkich.

I zelektryzują wszystkie.

Chodzi mi o rzecz niezmiernej dla nas wagi.

O czystość i podniosłość w literaturze.

Belletrystycznej, to jest tej, która przeznaczona dla warstw najszerszych, urabia te warstwy,

---

\*) Z Bardzkich Anna Karwat. „Czarna Perła“ 2 tomy. Kraków. Gebethner i Sp. 1913.

wyciskając na nich swoją pieczęć, podnosi je na wyżyny lub strąca do rynsztoków.

I koniec końcem przynosi krajowi pożytek, lub też, sącząc zakażenie w jego soki, naraża go na straty.

Kto ze śledzących za tą literaturą, widząc na jakie drogi u nas ona wkracza, nie zaduma się głęboko. Kto nie zada sobie pytania, ażali będąc wytworem głów polskich, służy istotnie interesom polskim, nie sprzeniewierzając się wielkim zadaniom, których jądrem *nie co innego jest i musi być przecież, jak zdrowie i siła tego, co pod miano polskiego się zaciąga.*

Kto?

O ile o moją skromną osobę chodzi, przyznać muszę, że pytanie takie zadawałem sobie niejednokrotnie i co jest ważniejsze, nie znajdowałem na nie innej odpowiedzi nad tę, że nie w swym naturalnie całokształcie (świeci nam przecież jeszcze wspaniała gwiazda Sienkiewicza i tylu innych), ale w znacznej swej części, dla narodu naszego jest ona nie pożądaną.

I, że lepiej, o wiele lepiej byłoby, gdyby jej nie było.

Jestem pisarzem polskim od lat kilkadziesiąt, wolny od zarozumiałości, aby to co odemnie wyszło, mogło mieć trwalszą wartość, z pewnego rodzaju dumą twierdzę, że ile razy brałem pióro do ręki, czy to jako publicysta, czy prac większych autor, zawsze przyświecało mi pragnienie, ażeby to co napiszę nie stało się zakalcem dla czytelnika.

Zawsze.

Kiedy więc wypisuję takie zdanie, że byłoby o wiele lepiej, gdyby literatura polska i tak już niezbyt bogata w pisane słowo, rozporządzała niem, w zmniejszoną o tego rodzaju dzieła, ilość, winienem to zdanie szerzej uzasadnić, aby nie wyglądało ono na herezyę, jeżeli nie na coś gorszego.

Uzasadniam je więc, i proszę czytelników, a czytelniczki jeszcze usilniej, gdyż o nie, jako o strażniczki jasności naszych domowych ognisk więcej mi w tej chwili chodzi, o chwilę uwagi.

A po uwadze, o zastanowienia, w swoim wnętrzu duchowem,—chwilę.

Czy literatura danego narodu, ma cel w sobie, czy po za sobą?

Pytanie to, dla mnie przynajmniej, w ścisłym pozostaje związku z innym.

Z tem mianowicie, co dla obywatela tego, przedstawia największą (doczesną naturalnie) wartość?

Zanim więc odpowiem na pytanie pierwsze, odpowiadam na drugie.

Odpowiadam krótko: — *dobro i pożytek ojczystego kraju.*

Dla tego dobra i pożytku tego poświęcić powinien on wszystko, ku nim mieć ciągle zwrócone swoje dążenia, o nich myśleć ciągle.

Bo w nich spoczywa rozkwit kraju, przez nie osiąga się jego pomyślność.

Jeśli więc tak jest, a tak jest rzeczywiście i tak być powinno, to wszystko co wytwarzamy naszemi

fizycznymi i duchowymi siłami, winno temu dobru i pożytkowi służyć.

A więc i sztuka, a więc i literatura, bo one są wytworami naszych duchowych sił.

Czy literatura beletrystyczna polska (o nią mi w tej chwili chodzi) spełnia to wzniosłe posłannictwo, czy służy tym dwom celom?

Choćby mnie za zacofańca, czarnego jak noc grudniowa okrzyknąć miano, powiem, że stanowczo nie.

Stanowczo.

Naturalnie nie jako całość, ale jako część.

I to znaczna.

Bo co widzę, gdy się w tej literaturze rozglądam?

Wśród utworów i artystycznie niepospolitych i dodatnich pod każdym względem, mnóstwo dzieł takich, które każde zdrowe społeczeństwo powinno wyrzucić do śmietnika.

Jako szerzycieli zarazy duchowej.

Oslabiających jego wewnętrzną moc.

Prowadzących je nie ku gwiazdom, lecz ku otchłaniom.

I gubiącym je w tych otchłaniach.

Utwory te, naturalnie przedstawiają nie jednokową literacką wartość.

Mnóstwo pomiędzy nimi jest pensyonarskich ćwiczeń, o uzdolnieniu piór pensyonarskich, ale są i rzeczy pisane wprawnie, techniką swoją świadczące, że ich autorzy debiutantami na arenie literackiej nie są.



I jedne przecież i drugie spekulują na jedno.

Na poczytność niewybrednych mas, a co za poczytnością idzie, na grosz.

Dla tego grosza zaprzędają się spekulantom wydawcom, dla niego pod obsłonką arcyzmu przemycają zgniliznę...

Dla niego...

Wiedząc że to co lechce chore i wyuzdane zmysły, na większy pokup liczyć może, niż to, co serca podnosi i uszlachetnia, że granie na rozstrojonych nerwach w tych czasach ogólnego rozstroju i zdenerwowania, jest grą o wiele pewniejszą niż zachęta do pracy i spełniania obowiązków, smutni twórcy tych dzieł grają na nich, nie bacząc niegodnie, że wynikiem tej gry być musi nie to co nas jako naród wzmocni, jeno to, co nas osłabionych, pod nogi tym, którzy nas zgnieść dla swojej korzyści pragną, rzuci.

Więc pędzą jak szaleńcy po swojej drodze zniszczenia naprzód, nie troszcząc się o dobro i pożytek kraju, którego są wykolejonemi z drogi obowiązkowości, dziećmi!

Ale choć dobrze o tem oni wiedzą, żaden z nich przecież nie przyzna się do tego.

Artyzm rozpiera serca nasze, sztuka dla sztuki jest naszym ideałem, tworząc dzieła literacko-poprawne, wzmagamy dorobek kulturalny narodu, zasługujemy więc nie na potępienie, lecz na uznanie i poklask, — oto jak brzmi ich wszystkich odpowiedź.

I grzebią z wytrwałością godną lepszej sprawy w błocie, analizują nie serca ożywione ogniem boskim, lecz zwierzęce chucie, gotując nam los, który sztańską radość wywoływać musi w każdym, komu zawadzamy na drodze.

Kto śledzi za belletrystyką polską w ostatnich czasach, przyzna niezawodnie że tak jest, kto zgadza się ze mną, że wszystko co szkodę narodowi przynosi, winno być odrzucone przez naród, nie zaprzeczy, że takiej literatury na dobro nasze zapisywać nie powinniśmy.

Bez względu na to, iż podciąga się ona pod miano literatury artystycznie uwypuklonej.

Bez względu na to, że jako taka, drogą przekładów na języki obce, płody pióra polskiego wprowadza na międzynarodowy rynek.

Bo mniej nam chodzić powinno o rozgłos i uznanie obcych, mniej o zasób dzieł oderwanie nawet skończonych, niż o to, do czego nas czytanie się w nie doprowadzić musi, bo w tem wszystkim co siły nasze wytwarzają, za pożądane to tylko uważać powinniśmy, co wewnętrzną siłą naszego kraju krzepi.

Mniej bogaci w utwory artystycznie nawet doskonałe, uchowamy się w dniach tych burz i zawiści, jakie dziś nad nami szaleją, ale osłabieni ich demoralizującym wpływem, paść musimy i zgnić w tym upadku, jak te wiekowe dęby, których konary rozleciały się w próchno.

Więc nie zaciemniajmy sobie oczów artyzmem, rozgłosem wśród obcych, i gdy trwać dla wielkiego

posłannictwa, jakie Bóg nam zakreślił, musimy i powinniśmy, zapisujemy na nasz dorobek narodu-  
wy to tylko co dobrego narodowemu służy, co jest  
pożywnym chlebem wzmacniającym nasze siły, od-  
mawiając prawa obywatelstwa wśród nas temu  
wszystkiemu, co te siły osłabia.

A więc i tej literaturze.

Tym tylko sposobem ostaniemy się i wytrwamy,  
i do wielkich zadań, które nas czekają, przystąpimy  
z nieosłabioną krzepkością ducha.

Biada, po stokroć biada! narodom, które w dniach  
jak nasze ciężkich, krzepkości tej są pozbawione.

## II.

Musiała już świadomość tego przeniknąć do szerokich mas naszej inteligencji, skoro przeciwko zorganizowanej przez szkodników pisarzy i pisarki bachanalii literackiej, prowadzącej nas na rozdroża, powstał w ostatnich czasach głośny protest.

Zataczając coraz szersze w zdrowej rodzinie naszej, koła.

Musiało wszystko, co wśród nas jest lepszego i mędrszego przenikniętem już zostać obawą o losy nasze, skoro rozległy się dokoła nas donośne głosy: *precz z tem, co urągając prawom moralności, pcha nas szatańską ręką na rozdroża.*

Musiało.

Bo głosów takich nie słyszałem dawniej, bo co więcej, dochodziły uszów moich dawniej zachwyty, gdy literatura belletrystyczna nasza, schodząc powoli z dróg wytkniętych jej przez Kraszewskiego, Korzeniowskiego, Kaczkowskiego, Sienkiewicza, Prusa, Orzeszkową, Krzczunowicza, Gomulickiego i Jeske-Choińskiego, wkraczała na gościńce wydeptane takimi

demoralizatorami i cynnikami, jak Zola i jego we Francyi naśladowcy.

Mówiono wtedy, że się europeizuje, że z ciasnych i zateęchłych zaścianków przedostaje się na szerokie widnokreśli, że piersiom naszym dostarczać zaczyna powietrza ożywczego i zdrowego.

I zaczęła nam go dostarczać szerokiem korytem, zaczęła, i im mniej rachowała się z religią, moralnością, narodową tradycją, im plugawsze postacie zgangrenowanych schyłkowców przesuwiała przed naszymi oczami, tem zachwyty obłąkanych i bezmózgich tłumów był większym.

I tem większa uciecha żywiołów rozkładowych wewnątrz i zewnątrz naszej Polski, domowych i pozadomowych naszych wrogów, którym przecież jak wszystko co nas osłabia i osłabionych do grobu wpycha, oddawała ona nieocenione usługi.

Będąc wodą na ich młyn.

Przybliżając tę pożądaną dla nich chwilę, gdy zdemoralizowani i hartu pozbawieni, zczeźniemy, ustępując im miejsca na naszej ziemi.

Ale struna przeciągnięta została za bardzo.

Spostrzegliśmy co nam zagraża.

I przyszła reakcja.

Powoli, nieśmiało, ale przyszła.

Na chlubę kobiety polskiej powiedzieć należy, że z kół kobiet.

One bo pierwsze uderzyły w surmę bojową.

Czując czem jest rodzina, których są od wieków opiekunami, zakrzyknęły na cały głos, że niebezpieczeństwo rodzinie zagraża, że z rąk niestety



polских idą ku niej strzały, grożące upustem jej zdrowej krwi.

I że należy ją ratować, roztaczając nad nią ochronne skrzydła.

Nie na dobro zaiste serca naszego kraju Warszawy zapisać muszę, że nie z Warszawy głosy te wyszły.

Nie.

Grono pań naszych na prowincyi Królestwa, protestując głośno przeciwko wystawieniu na miejscowej scenie skandalicznego płodu, pisarki lubującej się w grzebaniu w błocie,\*) dało inicjatywę dobrego czynu, bolesny jęk ich ranionej polskiej duszy, znalazł echo aż na krańcu ziemi naszej.

W Prusach Zachodnich, dawniej, gdy, jak poeta powiada \*\*) „*Bóg na nas był łaskawy i snuły się nasze sprawy jak wód polskich jasne wstęgi*“, Królewskimi zwanymi, dziś wystawionymi na straszne ciosy i urągowisko Prusaka, który niespełna cztery wieki temu, bił w pokorze czołem przed królem naszym na rynku krakowskim, ślubując Polsce posłuszeństwo i wierność.

Tam w ustronnej wiosce Wichulcu niedaleko Najmowa, zapoczątkowana w Królestwie akcja ratunkowa przybrała rozmiary szersze.

Dzięki właścicielce tej wsi, pani Annie z Bardzkich Karwatowej.

Właścicielce, — ale nietylko zasłużonej krajowi temu, że stoi silną nogą na posterunku narodowym,

\*) Śnieżko-Zapolskiej.

\*\*) Władysław Bełza. Wiersz: Ecce dolor. (Oto boleść).



chroniąc szmat polskiej ziemi od szponów czyhającego na nią dzikiego wroga.

Nie tylko.

Bo jest ona zarazem pisarką naszą, bo wzbogaciła literaturę krajową całym szeregiem powieści i utworów scenicznych, bo troszcząc się o chleb codzienny, krzepiący nasze ciało, mając od Boga dany sobie jednocześnie talent, służy sprawom i naszego ducha.

Służy z pożytkiem.

Dowodem dzieła, które nam w ofierze dotąd przyniosła, a i ta właśnie ostatnia jej powieść: „Czarna Perła“, która mi uwagi te pod pióro nastrecza.

Bo co jest treścią tych wszystkich jej utworów, co dźwięczy akordem silnym w ostatnim jej dziele?

To co na biegunie przeciwnym stoi tej zgniłej literaturze, jaką nas dziś darzą pisarze — demoralizatorzy.

Gdy więc przynoszą nam oni typy wyłącznie ujemne, jak gdyby dodatnich w społeczeństwie naszym nie było, i każą niemal te ujemne podziwiać, ona wiedząc dobrze o tem, że za słońcem idzie cień, i cienie nam ukazuje, nie w te cienie przecież wpatrywać się nam poleca, ale słońca blaski roztańczając hojnie przed naszemi oczami, ku tym blaskom kieruje nasze oczy.

A gdy jak naprzykład w ostatniej swojej powieści, dominującą rolę daje nędznikowi, co nurzając się jak zwierz nierozumny w rozpuście, stargał

życie szlachetnej kobiety, szerząc zgorszenie w całym otoczeniu, nie widzi w nim jak ci pisarze nadezłowieka, i nie rozgrzesza jak oni z jego dzi- kich, niby nadezłowieczych czynów, lecz najstra- szniejszą z ofiar, ofiarą śmierci tej, którą do grobu postępowaniem swoim wtrącił, prowadzi go ku duchownemu odrodzeniu.

Budując i ucząc.

Wstrząsając dusze i serca uszlachetniając.

Otóż taka to pisarka i obywatelka, (bo obywa- telskością jest chociażby tylko każda jej literacka praca) usłyszawszy głos protestu przeciwko porno- graficznemu polskiemu słowu, wyszły z piersi jej siostr w Królestwie, nadała słowu temu rozgłos donioślejszy i szerszy.

Rozprzestrzeniając koryta akcji ratunkowej.

Jednając jej legiony coraz liczniejszych zwo- lenniczek.

Czy zrobiła wszystko co zrobić chciała, czy legiony te stanowią już dziś armję niezwykłą, prowadzącą wszystkie bez wyjątku rodziny polskie ku tym celom, ku którym zmierzać dla szczęścia narodu one powinny, tego jeszcze powiedzieć nie mogę.

Tu i owdzie dają mi się jeszcze słyszeć głosy, będące zgrzytem w tym koncercie wspaniałym, tu i owdzie ukazują mi się widma niedawnej przeszło- ści, ale już to, że się dokonało na polu uzdrowienia powieści polskiej, a przez nią całego narodu, tyle, to, że gdy wczoraj niemal jeszcze, wszyscy jak jeden mąż staliśmy przy tem co nam pod osłonką

cukrową niosło truciznę, dziś już z obrzydzeniem coraz bardziej potęgującym się odpychamy pokarm zatruty, świadczy mi, wymownie świadczy o tem, że wstępujemy na dobre drogi.

Że chorzy już, pragniemy się leczyć.

Że żyjący jeszcze, nie chcemy zamrzeć.

I że nie zamrzemy.

Za ten więc zdrowy odruch, jakiego po latach obłąkania jesteśmy pod tym względem dziś świadkami, za tę reakcyę zbawienną, którą tak szczęśliwie zapoczątkowały na tem polu w kraju, wszystkie nasze żywioly zdrowsze, od tych wszystkich, którzy w tem co ducha naszego krzepi widzą zapowiedź przyszłości lepszej, niech przyjmą one słowa podziękii i wdzięczności.

\* \* \*

Zatem co dalej robić, aby kąkol z naszej ziemi z korzeniem wyrwać, co, aby powieść polską uszlachetnić i nzdrowić?

Odpowiedź prosta.

Iść po drodze, którą nam wytknęły te żywioly.

Iść, nie zrażając się niczem.

Ani krzykami żeśmy wstecznicy, zwalczający nowe prądy, ani szyderstwem, że nie mogąc widzieć w nich niczego innego nad gangrenę, nie możemy się unieść na stanowisko nadludzi, patrzących na występki i hucie ludzkie, pobłażliwemi nadludzi oczyma.

Więc głośno i bez ceremonii nazywać twórców powieści takich narodowymi szkodnikami, od tego

czem nas dla miłego grosza darzą odwracać się ze wstętem, książki ich wyrzucać z naszych domów.

I to bez względu nawet na ich artystyczną wartość.

Bo powtarzam, i oby to utrwaliło się w umysłach czytających:

Że nie ma dla nas większego doczesnego dobra nad to co, nasz naród wzmacnia i krzepi.

I że nie o wszechświatową popularność utworów polskich chodzić nam powinno, gdyż ta popularność nie uchroni nas od zatrucia i śmierci, gdy zatrute pokarmy spożywać będziemy, ale o korzyść, jaką nam one przynoszą, podnosząc nas i uszlachetniając.

*Albowiem nie ma szczytniejszej zasady nad tę, jaką stary Rzymianin zamknął w słowach, o których my Polacy nigdy zapomnieć nie powinniśmy:*

*„Salus Reipublicae suprema lex esto“ („dobro Ojczyzny, powinno być najwyższym prawem“), i większej prawdy nad tę znowu, jaką wypowiedział nasz wieszcz narodowy Zygmunt Krasiński w „Psalmach Przyszłości“, że*

„narodu duch otruty,  
to dopiero bólów ból“.



INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA

00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 17  
Tel. 28-68-63



---

---

OSTATNIE, BOGATO ILLUSTROWANE DZIEŁA

**Stanisława Bełzy:**

I

# W OJCZYŹNIE FARAONÓW

(sto rycin).

**Cena rs. 2.**

II

# OBRAZY I OBRAZKI INDYI

(90 rycin).

**Cena rs. 1 kop. 50.**

**(KSIĘGARNIA GEBETHNERA I WOLFFA).**





F

21.800